

O państwie, które gnije od środka. "Edyp Tyran"

Sztukę "Edyp Tyran" w Teatrze Horzycy ogląda się z przyjemnością, ale tylko do momentu, kiedy zrozumiemy, że spektakl powstał z dość niskich pobudek politycznych. Reżyser poprowadził całą historię pod tezę, której nie da się utrzymać

Krytycy nieprzychylni artystycznym poczynaniom Wojtka Klemma nazywają jego twórczość „niemieckim teatrem gimnastyki i podskoków”, zapewne nawiązując do tego, że jako reżyser tworzy głównie za naszą zachodnią granicą i mocno nasiąknął tamtejszą stylistyką. Jego „Edyp Tyran” w Teatrze im. Wilama Horzycy to bardzo fizyczne i cielesne przedstawienie, ale bez wizualnego pójścia na łatwiznę.

Najważniejsze w sztuce dzieje się w świecie małych gestów i szeptów – chór niemal nie komentuje zdarzeń, nie kontaktuje się z bóstwami, szepcze tylko i przeprosza za swoją obecność, stając się w pewnym momencie chórem popleczników i klakierów tytułowego władcy. Nie pozwala o sobie zapomnieć muzyka Michy Kaplana, która uzupełnia i dopowiada treści, kontruje, zapowiada i ostrzega – czasami to industrial przechodzący w techno z mocno podbitym basem, a innym razem lekki ambient uciekający miejscami w niemal atoniczny dark ambient. Ten industrialny klimat podkreśla także scenografia Michała Korchowca.

Wiele fragmentów sztuki wygląda jak spektakl teatru tańca, ruchowa drama i balet współczesny. Postaniec niosący złą wiadomość wesoło płąsa po scenie w rozświetlonych adidasach. Aktorzy łaszą się do siebie jak koty. Kreon w poruszającym finale ociera się o dekoracje w kształcie krzyża, jakby pomylił świątynię z domem uciech. Wielkie brawa należą się tu autorce choreografii Annie Krysiak.

Od początku wiemy, co się wydarzy na scenie, bo autor klasyczny i tekst klasyczny. Nad Edypem ciąży klątwa, że zabije własnego ojca i poślubi matkę, więc całe jego życie to ucieczka przed przeznaczeniem. Klemm postanowił wzbogacić ten doskonale znany obrazek i każda z kluczowych postaci przechodzi przemianę. Edyp (w tej roli znakomity Bartosz Woźny) z odpowiedzialnego władcy staje się tyranem wietrzącym wszędzie spiski i konspiracje. Kreon (Tomasz Mycan) na naszych oczach idzie po władzę i wiemy, że później nie cofnie się przed niczym. Antygona (bardzo dobra rola Joanny Rozkosz) dorośleje na naszych oczach – Klemm w pierwszej scenie zaczął budować jej mocną więź z ojcem, co przeraża i zasmuca, bo doskonale wiemy, jak później historia napisze jej los. Jokasta (jak zwykle znakomita Matylda Podfilipska) wydaje się wyniosła i monarchiczna, jednak z każdą chwilą okazuje coraz więcej słabości.

Błyszczący Woźny: jego Edyp jest czułym ojcem i mężem, ale gdy trawi go niepewność, zaczyna powoli popadać w obłąd, czego wyrazem jest scena, w

której opowiada, jak przed laty zamordował starego człowieka, bo nie ustąpił mu miejsca na drodze. W tych momentach toruński aktor jest knajacki, prostacki, wręcz wulgarnie dresiarski.

Wszystko, co dobre, kiedyś się jednak kończy. Nieznane plagi trawią Teby, Edyp musi się zmierzyć z klątwą, a reżyser scena po scenie zaczyna błądzić. Zupełnie nie mogę zaakceptować sposobu, w jaki Klemm charakteryzuje tebańskiego króla. Edyp w toruńskim przedstawieniu jest tyranem. Nadużywa władzy, posługuje się bezrozumną przemocą i chce zrobić wszystko, żeby tej władzy nie oddać. A przecież zasadniczym konfliktem tragicznym w dziele Sofoklesa jest to, że nie możemy uciec przed swoim przeznaczeniem. Edyp wie, że jego życie z przekonaniem, że zabije ojca i poślubi własną matkę – bóstwa wydały na niego wyrok, z którego nie ma ucieczki. I później interpretatorzy dzieła, które ma niemal 2,5 tys. lat, przez wieki się zastanawiali, czy nasz los jest gdzieś zapisany i czy człowiek ma wolną wolę. Tebański bohater nie ma żadnych szans i każdy jego krok coraz bardziej posuwa go ku przepaści.

Klemm w bardzo prymitywny sposób odnosi postać Edypa do współczesnej Polski – oto na scenie widzimy władcę, tak przerażonego wizją utraty swojej potęgi, że w stronę opozycji rzuca najcięższe przekleństwa, mówiąc do nich „zdradzieckie mordy”. A gdy przemawia, podstawiają mu stołek, tak jak Jarosławowi Kaczyńskiemu podczas kolejnych miesięcznic. Publiczność doskonale wyczuwała te niezbyt wyszukane przytyki, nagradzając je śmiechem i

oklaskami. To bardzo, ale to bardzo naciągana analogia, w dodatku wprowadzona z wdziękiem złośliwego i prymitywnego mema z „Soku z buraka”.

Ale wszystko wydawałoby się w porządku, gdyby Klemm udowadniał nam, że Edyp to niktzemnik za pomocą słów samego Sofoklesa. Reżyser sięga po teksty innych pisarzy, aby stworzyć portret krwawego króla – bez protezy w postaci fragmentów z J. M. Coetzee, Eliasa Canettiego i Jarosława Kaczyńskiego byłoby to zapewne niemożliwe.

Reżyser mógł przecież wybrać całkowicie inną ścieżkę – spróbować odkryć to, co jest zaledwie zaznaczone w oryginalnym tekście. Taką idealną postacią, która mocno dziś by wybrzmiała, jest Jokasta. Jako jedyna sprzeciwiła się okrutnemu wyrokowi bogów, musiała przyjąć na siebie jarzmo dzieciobójczyni i żyć z tym piętnem całe lata. Siłę i dyskursywny potencjał tej postaci odkrywa swoją grą Podfilipska. Dlaczego nie oddać sztuki tej bohaterce? Dlaczego zaledwie opisywać jej smutny koniec, który poznajemy tylko z relacji poddanych Edypa? Dlaczego znów skupiamy się na głupim tragizmie i prymitywnych żądzach władzy mężczyzn, skoro mocniejsza z dzisiejszego punktu widzenia historia rodzi się niemal na naszych oczach?

Klemm pokazał męskie igrzyska władzy, a kobiety jako istoty boleśnie i przewlekłe uzależnione od swoich panów, miauczące na ich widok, oplatające mężczyzn swoimi ciałami. Cytaty z zewnątrz niepotrzebnie rozrzedzają tekst,

który ma w sobie wiele współczesnego potencjału, a satyra polityczna na PiS trochę pachnie jednak żenadą. Reżyser chciał pokazać rozkład państwa, które gnije od środka z winy władcy. Zobaczyliśmy spektakl, który gnije od środka z politycznej nadgorliwości jego twórcy.

Grzegorz Giedrys

31 marca 2018